

Jędrzej Gliszczyński

Ateńska wyprawa

Kiedy obudziłem się, poczułem na poliku ciepły jęzor Lampo. Wstałem i szybko się ubrałem. Lampo od razu pobiegł na stację kolejową. Zwykle wychodził pół godziny przed przyjazdem pociągu, więc miałem czas na śniadanie. Jak zwykle wybiegłem w ostatniej chwili. Lampo stał już na schodach i z wyrzutem patrzył, jak pędziłem co sił w nogach. Oczywiście nie zdążyłem sprawdzić dokąd jedzie pociąg. Po kilku minutach przyszedł konduktor. Kiedy zapytałem, dokąd jedzie pociąg, zdziwiony konduktor odpowiedział, że do Warszawy. Po kilku godzinach jazdy dojechalismy do stolicy. Myślałem, że Lampo przyjechał pozwiedzać, ale od razu pobiegł w stronę lotniska. Na nic zdały się moje krzyki. Dogoniłem go dopiero na hali odlotów. Chwilę popatrzał na rozkład lotów, ale zanim zdążyłem pomyśleć, już pobiegł do komina, przez który wchodziło się na pokład. Gdy byliśmy przy wejściu do samolotu Lampo schował się pod moją kurtkę. Do dziś nie wiem, jak udało się nam dostać na pokład. Samolot leciał do Aten.

Po wylądowaniu Lampo wyskoczył z samolotu i wybiegł z lotniska. Oczywiście nie nadążałem. Na szczęście czekał na mnie. Miałem wrażenie, że zachowuje się jak u siebie. Gdy tylko mnie zobaczył, pobiegł przez ulicę i wszedł do restauracji, na której widniał napis: wstęp tylko dla psów i ich właścicieli. Zamówiłem duży stek dla Lampo i spaghetti bolognese dla mnie. Pies jadł bardzo szybko. Wydawało mi się, że się spieszy.

Kiedy już wyszliśmy Lampo pobiegł w kierunku olbrzymich blokowisk. Stał przy jednym z mniejszych budynków i głośno zaszczekał. Po chwili drzwi się uchyliły i wyszła zza nich piękna psica. Zaszczekała i szybko podbiegła do Lampo. Mój przyjaciel miał grecką dziewczynę! W podskokach pomaszerowali do przodu. Doszli do pięknego ogrodu z fontanną. Na jego skraju był hotel. Poszedłem i wykupiłem pokój, a psy zostawiłem w ogrodowej altanie. Nawet nie wiem, kiedy usnąłem.

Następnego dnia obudziło mnie szczekanie za oknem. Poszedłem do ogrodu, w którym Lampo i jego dziewczyna już czekali gotowi na następną przygodę. Czworonogi ruszyły przodem, a ja pomaszerowałem za nimi. Szliśmy wąskimi, pełnymi zabytków ulicami miasta. Ku mojej radości przewodnicy zrobili przystanek w okolicach Akropolu. Potem skierowaliśmy się na Wzgórze Filopapposa. Stamtąd rozciągał się piękny widok. Chciałem usiąść, odpocząć i poobserwować Ateny, ale psy miały inne plany. Szły tak długo, aż dotarliśmy do lasu. Lampo szedł tak pewnie i bez zastanowienia, że ani przez chwilę nie zwątpiłem, że wie dokąd idzie. Jednak w pewnym momencie

stanął i nie wiedział co robić.

- Ty zakochany kundlu! - pomyślałem ze złością. - Ciągniesz mnie na koniec świata i tak po prostu się gubisz!

Wtedy przypomniałem sobie że w kieszeni mam telefon.

- Po co ci to dziwne pudełeczko? - Lampo spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- To smartfon. Mogę dzwonić, rozmawiać z przyjaciółmi, robić zdjęcia, poruszać się w terenie dzięki nawigacji satelitarnej, grać - odpowiedziałem z pełnym zachwytem, zupełnie tak, jakby mnie rozumiał. W końcu to mój wymarzony, najnowszy model. Pies przyglądał mi się podejrzliwie. Miał taki wyraz pyska, jakby chciał coś powiedzieć. Właśnie w tym momencie mój telefon wydał z siebie złowrogie pipi i rozładował się. Do najbliższego miejsca z dostępem do energii elektrycznej mieliśmy pewnie kilka godzin marszu. Już prawie spanikowałem, ale przypomniałem sobie, że w kieszeni mam kompas. W lesie nazbierałem grzybów. Po wyjściu z lasu przypadkiem nadepnąłem na nogę pani, która zamiast przyjąć moje przeprosiny, zaczęła nas gonić. Wyglądała jak czarownica, tylko zgubiła gdzieś miotłę. Na całe szczęście Lampo znalazł uliczkę, w której się schowaliśmy.

Potem poszliśmy zjeść obiad w tej samej restauracji, co ostatnio. Po posiłku Lampo pobiegł w stronę świątyni ateńskiej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wielkie złote drzwi otworzyły się jak na zamówienie. Lampo pewnym krokiem wszedł do środka. Były tam olbrzymie posągi, wspaniałe rzeźby i legendarna buda boga psów. Moi towarzysze weszli do niej jak na zawołanie. W wielkim gmachu zapanowała kompletna cisza. Nie wiedziałem co się dzieje. Usiadłem i próbowałem rozszyfrować napisy na budzie. - Kto na godzinę z serca wybranką tu wstąpi, zostanie z nią na wieki – z trudem przetłumaczyłem zniszczone wyrazy.

Minęło dokładnie 60 minut, kiedy psy znowu pojawiły się na stopniu budy. Lampo popatrzył na mnie radośnie i pomaszerował przed siebie. Zatrzymał się dopiero na lotnisku. Do domu wracałem z dwoma psami, które w samolocie udawały maskotki. Aż strach napisać, jak zareagowali rodzice, kiedy stanąłem u drzwi z Lampo i jego dziewczyną. Ale to już zupełnie inna historia.